

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

róg Rynku głównego

**poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.**

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

53

XII.

Pierwszego popołudnia, które Maksym Duret spędził pod strażą Joego Smitha, miliarder udał się do prefektury policyjnej, by żądać powierzenia sobie panny Dubois. Potem pojechał do jednego z biur mieszkaniowych i kazał dać sobie spis will i pałaców, które możnaby wynająć natychmiast.

Dyrektor biura i jego urzędnicy, nie ruszając się z swych miejsc, spojrzeli z góry na człowieka tak biednie ubranego. Ostry jednak głos gościa i pewny siebie ton mowy, jak również i stanowcze, energiczne jego ruchy wywarły od razu na nich wrażenie i stali się bardziej uprzejmi. A gdy usłyszeły nazwisko Lewisa Jacksona i ujrzeli jego portfel, wypchany banknotami, zaczęli kłaniać się uniżenie i wszyscy od razu pośpieszyli podać krzesło tak niezwyklej osobie.

W pół godziny potem Lewis Jackson obejrzał i wynajął wspaniały pałac przy arenie Bois de Boulogne. Potem pojechał do największego sklepu mebli i kazał w przeciągu ośmiu godzin urządzić go z wszelkim przepychem.

I w istocie na drugi dzień rano o dziesiątej godzinie pałac Lewisa Jacksona mógł uchodzić za najpiękniejszy przy całej arenie Bois de Boulogne.

Gdy Lewis Jackson przybył obejrzeć urządzenie i wydawał rozkazy zarządcy pałacu, który miał już pod sobą cały sztab służby, zjawił się niespodzianie Maurycy de Ferrade.

— Przychodzę z ulicy Amsterdamskiej — rzekł do miliardera. — Powiedziano mi tam, że pan jest tutaj...

— Nie na długo — odparł Lewis Jackson. — Pałac ten będę odwiedzał tylko czasem, a mieszkać będę po dawnemu w swym małym pokoiku.

Rządca pałacu na znak businessmana wyszedł z pokoju, pozostawiając swego pana sam na sam z gościem.

Inżynier zaczął wtedy mówić:

— Przyszedłem dowiedzieć się na życzenie panny de Lagunan, co pan postanowił względem jej matki i dziadka...

— Postanowiłem, że będą żyli... Pan już o tem wie...

— Tak... Ale w jakich warunkach będą żyli i gdzie?

— Ach! Jest pan bardzo ciekawy!

Maurycy nie śmiał nalegać.

— I oto panna de Lagunan — rzekł — jest zupełnie sama. Biedaczka...

— Pozostał jej ojciec — zauważył Lewis Jackson. — Nie wiele on wart, co prawda, jako ojciec... Obrona i towarzystwo barona nie wiele znaczą...

— Brak jej jednak i tego... Pan de Lagunan wyjechał dzisiaj rano do Afryki jako agent towarzystwa kolonialnego.

— To niemożliwe! Dlaczego wyjechał?

— Zdaje się, że w ostatnich czasach majątek jego bardzo zmalał... A niedawne wybrki pocztowe i to, co mu zostało... Panna de Lagunan jest więc nie tylko pozbawiona rodziców... Jest ona literalnie bez jednego susa...

Maurycy mówił to głosem zmienionym, a oczy jego poza okularami pokryły się łzami.

— Ale pan ją kocha — rzekł niespodzianie miliarder. — Wczoraj pańskie wzruszenie na ulicy Amsterdamskiej wytłumaczyłem sobie tą przykrą sceną, jakiej pan był świadkiem. Ta nieszczęśliwa panna na kolanach przed nami mogłaby wzruszyć najokrutniejszego... Lecz pan i dzisiaj na samą myśl

o położeniu tej młodej panny jest bliski płaczu... Ach! ach!...

Inżynier zaczerwienił się.

— Do diabła! I ja pana właśnie prosiłem o za-komunikowanie jej tego ciosu, jaki na nią spadł! Musiał pan przeżyć wtedy niemiłe chwile...

— Bardzo niemiłe — powtórzył Maurycy z drżeniem na wspomnienie wczorajszego dnia.

— Well! Postaram się też naprawić to zło... Zwłaszcza, że i pańska ukochana jest godna litości...

— Och! tak!

— Niechże pan jej powie, że baronowa i Maksym Duret nie poniosą żadnej kary fizycznej... Nic im się złego nie stanie... Może ją pan o tem zapewnić...

— Dziękuję!

— Ale — mówił dalej miliarder — jeżeli to robię, to tylko pod tym warunkiem, iż panna de Lagunan zgodzi się pielęgnować Ludwikę Dubois, zamieszkać razem z nią tutaj...

Niczego więcej ona nie pragnie! Cóż onaby robiła sama jedna, opuszczona i biedna w pałacu przy ulicy Ampère!...

— Właśnie dlatego też ofiaruję jej tutaj gościnność. A stawiam to jako swe żądanie, by łatwiej się na to zgodziła...

— Ach! — szepnął Maurycy zdziwiony tą dobrocią, której się nie spodziewał.

Inżynier schwycił bezwiednie rękę miliardera i uściśnął ją serdecznie.

Tegoż wieczora Lewis Jackson i Kamilla pojechali samochodem do świętej Anny. Mieli z sobą dwie najlepsze i firmierki z prywatnego zakładu, kierowanego przez pewnego słynnego doktora. Alie-nista ten zgodził się jak najdłużej przebywać przy chorej miliardera i jak najczęściej zbierać dokoła niej swych kolegów. Serce Kamilli drżało z bólu, gdy znalazła się wobec swej byłej nauczycielki. Pomogła jej wsiąść do samochodu i przez całą drogę nie spuszczała jej z oka. To czuwanie nad obłąkaną zlagodziło trochę jej własne cierpienie.

Ludwika nie stawiała żadnego oporu. Chętnie wyszła od świętej Anny i zajęła miejsce w samochodzie. Wydawała się bardzo zadowoloną, gdy samochód szybko jechał. I po przybyciu przed pałac nie straciła uśmiechu z twarzy. Lecz gdy się znalazła w swym pokoju i gdy się drzwi za nią zamknęły, zmarszczyła czoło i szepnęła niespokojnie:

— Piotr...

Szukała oczami młodego człowieka. Przy każdej zmianie miejsca spodziewała się go znaleźć, a nie widząc go, chciała wychodzić, starała się otworzyć drzwi i zaczynała płakać...

Lewis Jackson dał znak Kamilli, by wyszła z nim. Ludwikę zostawili razem z infirmierkami.

— Pani chora została już ulokowana — rzekł miliarder do młodej panny. — Teraz na panią kolej.

I zaprowadził ją do małego apartamentu, składowanego się z sypialni, łazienki i buduaru.

— Jest pani teraz u siebie — rzekł.

W pokoju znajdowało się małe biurczko w stylu Ludwika XV. Businessman podszedł do niego i otworzył je. W środku obok pudełek z papierem listowym znajdowała się duża kryształowa czarka, pełna monet dwudziestofrankowych.

— Włożyłem tu kilkanaście luidorów — mówił dalej obojętnie Lewis Jackson — które będą stanowiły pani podręczną kasę... Proszę wydawać je bez rachunku... Ten zapas będzie zawsze po wyczerpaniu odnawiany.

— Ach! panie! — rzekła Kamilla — ja ich nie ruszę.

— Dlaczego?... Przez skrupulatność?... Będzie to skrupulatność zupełnie nie na miejscu... Czy pani sądzi, że pięćdziesiąt tysięcy franków dla mnie co znaczy... Mogę wyrzucić miliony, a mimo to interesa moje nie poniosą przez to najmniejszego uszczerbku.

— Tak, ale czy ta suma jest wielka czy mała, ja jej nie mogę przyjąć, gdyż jej nie zarobiłam...

— Przepraszam, drogie dziecko... Właśnie zarobiła pani... Żądałem, by pani zaopiekowała się Ludwiką... Ale przecież nie mogę wymagać, by czyniła to pani za darmo... co zresztą jest dla pani niemożliwym...

— Niemożliwym?...

— Tak! Co pani ma w swej pormonetce?... Nie wiele... A gdy to niewiele wyczerpie się?...

Kamilla nic już nie odpowiedziała.

— Niech pani tem się nie przejmuję — dodał miliarder. — A gdy tych pieniędzy będzie za mało, zwłaszcza gdy zechce pani komu pomóc, proszę mi powiedzieć... A teraz do widzenia!

Lewis Jackson nie miał już tutaj co robić. Nie czekając na ceremonialne grzeczności, pożegnał się nagle z młodą panią i szybko wyszedł. Obiad zjadł w podrzędnej restauracji w towarzystwie ulicznego sprzedawcy gazet i dorożkarza. Potem udał się do Neuilly, by przebyć tam drugą i ostatnią noc z Maksymem Duretem. Na drugi dzień o dziesiątej rano był już w swym pałacu. Służba miliardera ubrana już była w liberyę, wybraną przez maitre d'hotel, któremu powierzony był zarząd pałacu. Na progu przed podjazdem stał okazały portyer w stosowanym kapeluszu, suciej ozdobionym galonami, niż pirog admirałski. Rozmawiał z nim lokaj w krótkim ubraniu, białych pończochach i lakierowanych pantoflach.

Na widok swego pana zamilkli, wyprostowali się, portyer zdjął kapelusz, służący opuścił sztywno ręce wzdłuż jedwabnych spodni.

Oso-by, które w chwili tej przechodziły koło pałacu, zatrzymały się zdziwione, dlaczego służba z tak magnackiego domu przyjmuje taką uniżoną postawę wobec jakiegoś biedaka.

— Nikt nie przychodził? — zapytał Lewis Jackson.

— Owszem — odpowiedział portyer. — Czekają kilku panów. Jest to pan Balazzo...

— Wiem — przerwał miliarder.

I wszedł do westibulu. Lokaj poszedł za nim. Żona portyera wyszła ze swego mieszkania i spoglądała na oddalającego się swego pana. Potem zbliżyła się do męża i szepnęła:

— Tak ubranych to widziałam na ulicy pod kawiarniami tylko zbieraczy niedopałków cygar i papierosów.

Portyer odpowiedział szeptem:

— Rozmawiałem właśnie z Janem o jego majątku, gdy nadszedł... Według tego, co mówi maitre d'hotel, to ma on więcej niż sto milionów dochodu...

Portyerowa załamała tylko z podziwu ręce.

Tymczasem Lewis Jackson wszedł po wspaniałych schodach, ozdobionych od dołu do góry rosnącymi krzewami, tak iż klatka schodowa wydawała się jakby dalszym ciągiem zimowego ogrodu z najrzadszymi roślinami z całego świata. Maitre d'hotel, który oddawna już oczekiwał przybycia swego pana, wyszedł zaraz na jego spotkanie.

— Jest, proszę pana — oznajmił — czterech doktorów... Przyszło także i trzech malarzy... Pierwsi czekają w salonie Ludwika XVI, tamci w salonie wschodnim.

— Dobrze — odrzekł miliardera. — Proszę poprosić malarzy, by się nie niecierpliwicki... Zaraz przyjdą do nich.

— Panowie Piotr Cartegue i Maurycy Terrade są w wielkiej hali... Są także państwo John Narris...

— Cóż to za jedni?...

— Spacerują w ogrodzie zimowym.

Lewis Jackson wszedł tymczasem na pierwsze piętro.

— Gdzie jest salon Ludwika XVI — zapytał. Nie znał jeszcze dobrze rozkładu swego pałacu. Służący poprowadził go i otworzył przed nim drzwi do salonu, w którym siedziało czterech męż-